



# ZOMBIE FEST

Dariusz

Dusza

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Redaktor prowadzący: Szymon Szwajger

Projekt okładki: Krzysztof Owedyk

Wydawnictwo HELION

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63

e-mail: [editio@editio.pl](mailto:editio@editio.pl)

WWW: <http://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

<http://editio.pl/user/opinie/zombie>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-283-6165-2

Copyright © Helion 2020

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność



## Rozdział 5.

Von Clausewitz miał jednak rację. Zaskoczenie to jeden z elementów strategii, które pozwalają wygrać wojnę. Obszarpańców było około stu dwudziestu, pozostałych uczestników festiwalu minimum pięć tysięcy. Wydawałoby się, że tak ogromna przewaga ze strony normalnych lub prawie normalnych fanów rock'n'rolla musi przynieść im zwycięstwo. Umówmy się, Trupieszów to nie Termopile. A na dodatek tutaj garstka zaatakowała, a tysiące próbowały się bronić. Tej garstce nie przewodził żaden Leonidas. Ona nie miała przywódcy. Ona nie miała strategii. Była za to zdeterminowana. Zdeterminowana, by gryźć.

Jeść.

Rozrywać.

Żuć.

Kąsać.

Chłęptać.

Spartanie z Trupieszowa po prostu chcieli zagryźć wszystkich, którzy nie należeli do ich gatunku. Zagryźć, a przy okazji smacznie się posilić. Nie snuli wojennych planów, nie wybiegali myślą naprzód. Nie kierowali się intelektem, wiódł ich wyłącznie krwiożerczy instykt.

Gryźć, jeść, szamać, wpierdalać, wtrząchać.

Gryźć, jeść, szamać, wpierdalać, wtrząchać.

Gryźć, jeść, szamać, wpierdalać, wtrząchać.

Gdy tylko wybrzmiał ostatni dźwięk *Odrąbanej dłoni* Pokoju 101, wszyscy „fani gotyku” w ciągu sekundy rzucili się na otaczający ich tłum. Chaotycznie, niespójnie, bez wybierania ofiar. Zaskoczenie było totalne. Czy ktoś słuchający koncertu w amfiteatrze w 1985 roku, w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, najsympatyczniejszym baraku obozu komunistycznego, byłby w stanie uwierzyć, że stojący obok sąsiad rzuci mu się do gardła i mu to gardło przegryzie? Nader sprawnie przegryzie?

Czy osoba wychowana na prozie Sienkiewicza i poezji Mickiewicza (wychowana nie oznacza, że czytała którąś z lektur) byłaby w stanie wyobrazić sobie, że ktoś wbije jej szczękę w łydkę i bezceremonialnie, bez dania racji, mu tę łydkę obgryzie? Tak, obgryzie, nie odgryzie.

Na przykład taka Basia Kisielewska. Mała, szesnastoletnia blondynka, podobna do kurczaka z wolnego wybiegu. Nigdy w życiu nie spotkało jej nic złego. No, nie licząc wycieczki klasowej z zeszłego roku, tej w Beskidy, gdy pijany kolega ze szkolnej ławki wśliznął się do jej łóżka i próbował rozprawiczyć.

Jednak poza tym incydentem Baśka była szczęśliwą małolatą, kochającą Lady Pank i Lombard. Naprawdę szczęśliwą. Do momentu, w którym w jej grdykę wbiły się zęby stojącego metr dalej chłopaka w dżinsowym uniformie. Po prostu podszedł, chwycił ją za ramiona i ugryzł w szyję. Najpierw usłyszała chrzęst miazdzonej grdyki, dopiero po sekundzie poczuła potężny ból. Jednak nadal była tak zdziwiona, tak zaskoczona, że nawet nie próbowała się wyrwać. Dżinsowy spokojnie wygryzł jej kawałek szyi i zabrał się za przeżuwanie, a ona nie mogła nawet krzyknąć.

Zresztą jej krzyk nie przebiłby się przez chmurę ryku i wrzasku, która zawisła nad amfiteatrem. Najgłośniejsi darli się napastnicy. Wyciem zwierzęcym, pierwotnym i straszliwym. Po chwili do tego potworzonego ryku dołączył lament gryzionych i konsumowanych ofiar.

Wirnik nadzierał się jak opętany, jak fan punk rocka skazany na słuchanie Pink Floyd. Chociaż tak naprawdę punkiem nie był. Był dwumetrowym skinem, w dużym zielonym flyersie i obcisłych dżinsach z czerwonymi szelkami. Może nie był zbyt inteligentny. Może nie zrobiłby doktoratu z fizyki jądrowej. Raczej na pewno nie skończyłby zawodówki, do której chodził. Ale przecież mógłby zostać politykiem albo księdzem, albo milicjantem. Mógłby, gdyby nie ta chuda suka, która

właśnie obgryzała mu przedramię. Przedramię, które wcześniej mu ode-  
rwała. Wirnik przykląkł i przez zażawione oczy patrzył, jak w jej oble-  
śnej, zielonej, spleśniałej mordzie znika jego kolejny palec.

\*\*\*

— Rany, co tam się dzieje? — Keczap próbował znaleźć przyczynę  
hałasu, który wybuchł po trzeciej piosence.

— Jakaś zadyma, pewnie metale z punkami — zawyrokowała Jolka.

— Chodźcie, obczaimy — Ania ruszyła korytarzem.

Jolka, Keczap i Grizli poszli karnie za nią. Zespół nadal nie grał,  
muzycy zgromadzili się w pobliżu perkusji i naradzali się wspólnie z kon-  
feransjerem Ziarnem. Hałas nasilał się, coraz wyraźniej było słycać  
pojedyncze krzyki.

— Ratunku!

— Spierdalaj, zboku!

— Czemu mnie, kurwo, ugryzłaś?

— Exploited!

Ania zatrzymała się kilka metrów przed barierkami. Zbladła. Po-  
woli obróciła się w kierunku przyjaciół.

— Anka, co jest? Wyglądasz jak marmur — zachichotała Jolka.

— Słuchajcie, ja wiem, co się dzieje. Ja wiem — zawiesiła głos.

\*\*\*

Jeszcze nigdy tak niewielu nie zjadło tak wielu. Niestety, zjadani w bar-  
dzo nikłym stopniu próbowali się bronić. Nie był to żaden syndrom  
sztokholmski. Nikt nie kocha być gryzionym i spożywanym żywcem.  
To były raczej bezradność i apatia. Niby opędzali się od agresorów, niby  
uciekali. Ale tak bez przekonania, tak bez wiary. Czy to skutki socjali-  
stycznej edukacji i umysłowej kolektywizacji, która rugowała z mło-  
dych umysłów wszelką samodzielność i indywidualizm? Może to brak  
charyzmatycznego przywódcy, który powiódlby ich na barykady? Szli  
na rzeź jak stado baranów, właściwie nie szli, tylko stali. Zamiast się  
ostro bronić, odpychali atakujących. Zamiast walić w nich ile sił, pró-  
bowali się zasłaniać przed kłapiącymi zębami. Coś z tymi małolatami  
było nie tak. Z młodymi zawsze jest nie tak. Tak przynajmniej twierdzą  
starzy.

Przecież taki obszarpaniec to nie Szewińska ani Jesse Owens. Sprintem nie poleci. Prędkiej świńskim truchtem. Zwykły człowiek jest w stanie bez problemu uciec takiemu dzwoniącemu szczeną pajacowi. Niestety tylko na krótkim dystansie. Zombie znacznie przewyższa człowieka mocą i wytrzymałością. Sprawność ruchową ma kiepską i łatwo uniknąć jego nieskoordynowanych ciosów. Natomiast pod żadnym pozorem nie należy próbować walki w zwarciu. Siłą przewyższa każdego. Nawet najmniejszy z tych gotyckich potworków miał moc dziesięciu Kulejów. Żadnego zwarcia, żadnego kontaktu. Zapasy i wrestling zdecydowanie odpadają.

\*\*\*

— Ale co wiesz? — Keczap spojrział na nią badawczo.

— Wiem, kim są ci obszarpancy. Te niby gotyki. To zombie! — Anka wskazała palcem na kłębiący się tłum.

— Kto? — spytał Grizli.

— Zombie. Żywe trupy.

— Pierwszy raz słyszę — powiedziała Jolka.

— Zombie, żywe trupy. Jedzą ludzi, a jak kogoś ugryzą, to ten ktoś też zostaje zombie — wyrecytowała Ania.

— Rany, co ty pierdolisz? — zaśmiał się Keczap.

— Nie pierdolę, gdy byłam w Londynie, to widziałam dwa filmy o żywych trupach. I mam w domu komiks o nich — dodała.

— Jarałaś coś? To były filmy, jakieś bajki, a tu? — Keczap odsunął się instynktownie od czegoś, co przeleciało mu pół metra od głowy i spadło kawałek dalej.

— Co jest, kurwa — podszedł do tego czegoś, pochylił się i zamarł. — Ja pierdziu, to niemożliwe, to przecież...

To była dłoń. Ludzka. Sądząc po szczupłych palcach, pomalowanych, lekko obgryzionych paznokciach i srebrnym, tanim pierścionku, dłoń należała do kobiety. Należała jeszcze minutę temu, bo nadal kapiała z niej krew.

— Chyba śnię, ja pierdolę! — Jolka z obrzydzeniem spojrzała na dłoń. — I jaki fajansiarski lakier.

— Anka, ale to przecież niemożliwe. Kurwa, zresztą sam już nie wiem — Keczap pokręcił głową.



— Wiesz, może w tych filmach jest więcej niż ziarnko prawdy. Musimy stąd wiać! Trzeba ostrzec Janka i chłopaków.

— No weź, nie panikuj. Zaraz wpadną niebiescy i zgarną wszystkich — Jolka odwróciła głowę od leżącej dłoni.

— To nie jest tak, nie dadzą rady — zaproponowała Ania. — Zombie są groźne. A jak kogoś pogryzą, to po chwili on do nich dołącza. Chodźmy stąd!

Powoli zaczynała się robić zła na swoich znajomków. Na to, że jej nie wierzyli. Jasne, mieszkają w tych pipidówkach i nic o świecie nie wiedzą. Ona przynajmniej trochę pozowiedziała i miała znacznie szersze zainteresowania. Interesowała się UFO, interesowała się życiem po śmierci i hipnozą. Spojrzała na nich z lekkim wyrzutem.

— No nie wiem. Ale na scenę możemy wrócić i poczekać, aż się ta zadyma skończy — zgodziła się Jolka. — Bo jak wjadą niebiescy, to i my oberwiemy.

\*\*\*

Minęło kilka minut. Może nawet dziesięć, nikt zresztą nie spoglądał na zegarek. Wrzask i jęki bólu osiągnęły stały, niezmienny poziom. Grupa żywych trupów opanowała lewe skrzydło widowni i powoli przesuwiała się w kierunku stojącego na środku miksera. Po pierwszym szoku część festiwalowiczów ocknęła się i zaczęła uciekać. Niektórzy normalną drogą, przez bramę amfiteatru. Inni, na skrzydłach paniki, przeskakiwali ogrodzenie. Z lepszym lub gorszym rezultatem. Parę osób połamało sobie nogi.

— Zabierzcie mnie stąd! — krzyczała młoda rastamanka z otwartym złamaniem. — Pomocy!

Dwóch punkowców zatrzymało się. Spojrzeli po sobie i westchnęli. Samemu łatwiej być skurwiałym egoistą. Przy świadkach znacznie gorzej. Jeden z nich wyrwał z ławki kawałek deski. Przyłożył ją do połamanej nogi i pomimo przeraźliwego krzyku dziewczyny obwiązał bandaną. Drugi w tym czasie poleciał do bramy amfiteatru. Tam znalazł rozkładany, tekstylny fotel, model Sopot Bicz. Posadzili półprzytomną dziewczynę i ponieśli w kierunku rynku.

Kilku zombiaków otoczyło budkę z mikserem. Na jej dach wdrapał się realizator, przerażony jak zając na Świętego Huberta. Napastnicy rytmicznie i beznamiętnie kołysali drewnianymi słupami, które pod-

trzymywały wykonany z blachy falistej dach. Dźwiękowiec był na jego środku i na czworakach próbował utrzymać równowagę. Cała konstrukcja falowała i skrzypiała. W końcu z hukiem runęła.

Trochę przypominało to piknik. Wiele żywych trupów oddawało się rozkoszy konsumpcji. Część widocznie była lepiej wychowana, bo siadały elegancko przy swoich ofiarach i zjadały oderwane części ciała. A to rękę, a to udo, czasem serce lub wątrobę. Inni nie bawili się w porcjowanie i po prostu rozrywali zębami i pochłaniali całe ciała. Wszędzie opalizowały plamy z krwi. Jej słodki, mdły zapach przyprawiał o ból głowy. Ale raczej nikt nie myślał wtedy o migrenie.

Nad głowami — zarówno tymi oderwanymi, jak i tymi przytwierdzonymi do korpusu — unosiły się miliony much. Muchy to największe beneficjentki cywilizacji. Trudno się dziwić, że Mark Twain poświęcił im tyle miejsca w *Listach z Ziemi*. Trudno nie powtórzyć pytania:

— Po co muchy?

— Po co zombie?

I oczywiście: po co muzyka?

Tuż przy ogrodzeniu pod ławką leżał dwudziestoletni fan bluesa. We flanelowej koszuli, brudnych džinsach i z kilkoma wiankami koralików na szyi. Leżał jak śpiąca królewna po lekturze *Starej baśni*. Gdyby nie wygryzione oko i rozszarpany nos, wyglądałby świetnie. Wyraźnie nie zasmakował. Może to dieta, przecież był zdeklarowanym wegetarianinem. W czasach PRL-u było to tak samo łatwe jak oddychanie na Marsie.

Chłopak leżał tak od kwadransa. Zombie, który go dziabnął, znalazł kolejną, bardziej kaloryczną ofiarę. Nagle prawa powieka chłopca zadrżała. Zadrżała i uniosła się o milimetr, po czym znów opadła. Po chwili podniosła się ponownie. Dołączyła do niej druga powieka. Oczy wyglądały jak dwie mętne szklane kulki, nie było też śladu oddechu. Mimo to po kolejnej minucie chłopiec wstał. Tak normalnie. Nie żył i wstał. Zrobił krok i zahaczył nogą o ławkę. Wywalił się jak świerk w Puszczy Białowieskiej, łamiąc sobie nadgarstek. Poleżał chwilkę i znów wstał, podpierając się tym nadgarstkiem.

Z każdym krokiem szło mu się coraz lepiej. Po chwili dołączył do grupki truposzy, którzy wyraźnie szukali jakiejś przekąski. Może nawet mieli ochotę na drugie danie? Kręcili się nieco bezradnie, kłapali



zębami. Niestety, jak to w życiu, jedzonko samo nie przyjdzie. Za darmo nie ma nic.

Lecz nagle jeden z nich zatrzymał się. Tak, to był Wirnik. A właściwie to, co z niego zostało. Poruszył nozdrzami, zawył i ruszył w kierunku sceny. Trochę nim rzucało, jak łódką przy dysce w skali Klenczona, przepraszam, Beauforta. Jednak brak ramienia może nieco w życiu przeszkadzać. Naprawdę. Wiadomo, Wirnik nie zostanie pianistą. Nawet gitarzystą. No, jednoręcznym gitarzystą mógłby być, ale tylko w punkowej kapeli.

Tuż za nim stanęła Baśka Kisielewska. Chciała krzyknąć „Oi!” albo coś w tym stylu, lecz brak grdyki wyraźnie jej w tym nie pomógł. Już nie wyglądała jak żółty kurczaczek. Bardziej przypominała przypaloną kurę, wyjętą zbyt późno z elektrycznego rozna. Wkurwioną, śmierdzącą spalenizną kurę. Tak jak Wirnik swoje niewidzące, zaropiałe ślepia wbiła w scenę.

Wirnik, Baśka i pozostali ruszyli w kierunku sceny. Sceny? Raczej restauracji z wyszynkiem i wspaniałym menu. Niepotrzebne były im gwiazdki Michelin. Wystarczyło świeże, żywe ludzkie mięsko. Przyśmak znany od wieków, popularny w każdym kraju i regionie. Trupieszów nie miał takich tradycji jak Ziębice ze swoim Karlem Denke, który przerobił na konserwy czterdzieści osób. Ale teraz? Teraz to Trupieszów był na topie.



#### Komentarz 5.

Krzysztof „Kielon” Kiełoński. Założyciel i lider zespołu *Extrakt*. Wcześniej grał w zespołach *Tęczowe świerszcze* i *Antylopy*. Autor dziesiątków przebojów, takich jak *Płonące serca*, *Anioła krzyk*, *Tulitulisztulaj*. Dwukrotny laureat Fryderyka, trzykrotnie uhonorowany nagrodą publiczności Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu. W 2014 roku odznaczony medalem „Zasłużony Kulturze — Gloria Artis”.

\*\*\*

— Gdyby nie zombie, to byłbym jak Eric Clapton.

Nie ma się co głupio uśmiechać. Trzeba spojrzeć na fakty. A fakty są bezlitosne. Muzyka nie kłamie. To, co graliśmy z Ekstraktem na początku lat osiemdziesiątych, było pionierskie! Światowe! Trudno, muszę być nieskromny, ale to w imię prawdy. Prawda nas wyzwoli, jak mówił Ojciec Święty. Oczywiście, że się znaliśmy.

Wtedy grałem takie riffy, że Claptonowi czy Van Halenowi szczekała by opadła. Byliśmy u progu światowej kariery. Czułem, że za chwilę eksplodujemy. Tak, mieliśmy już zaklepaną trasę w NRD i koncert w Pradze. Gdyby nie ten cholerny festiwal...

Po co nam to było, sam nie wiem. Byliśmy bardziej popularni od Krystyny Loski. Dziennie graliśmy dwa albo trzy koncerty. Bez playbacku, nie tak jak teraz. Wjeżdżaliśmy na przykład na Szkieletczyznę i przez dwa miesiące graliśmy tam trzydzieści koncertów. A potem przerzut do Pyrlandii i następne trzydzieści. To menago wymyślił, że powinniśmy się z małolackimi kapelami pokazać. Pewnie, by poziom podnieść, bo tak szczerze, to słabizna tam grała. Słabizna.

Przy Ekstrakcie to oni mogli iść na łąki owce pasać. Jak chwyciłem swojego gibsona... No, na wyjeździe kupiłem, w Emiratach. Jak przywaliłem riffem, to mury się trzęsły. A jeden, ten berliński, to nawet runął. Wie pan, Wałęsa Wałęsą, Wojtyła Wojtyłą, a tę komunę to tak naprawdę muzyka pokonała. Uczciwie muszę przyznać, że nie tylko nasza. Było jeszcze kilka podziemnych zespołów: Lombard, Perfect i jeszcze ten... No ten... Nieważne.

To działało prosto. Gdy śpiewaliśmy: „Dziś wieczorem nie pójdziemy na browara”, to wszyscy wiedzieli, że chodzi o stan wojenny i godzinę milicyjną. I o Jaruzela, przez którego nie mogliśmy być sobą.

Gdyby nie zombie...

To stało się tak nagle. Byłem u chłopaków przy konsoli, robiliśmy jakiegoś małego łyskacza. Coś tam grało, ale nie pamiętam co. Może i Pokój. Wałę kolejną lufę, a tu nagle coś mi przed oczami przelatuje i spada na mikser. Rany, co to? Gapimy się w trójkę i normalnie nam gały z orbit wychodzą. Bo to oko było. Niebieskie. Koło sumy na mikserze leżało wydłubane oko! No stary, to się zazwyczaj nie zdarza, nawet na festiwalach.

Przełknąłem łychę i zaczynam obczajać. I co widzę? Widzę stado pojebów, które się nawzajem konsumuje. Z festiwalu zrobiła się krwawa

stołówka pracownicza. Teraz wiem, co to było. Teraz bym się naprawdę przeraził. Ale wtedy nie miałem świadomości, nie miałem bladego pojęcia, co na nas napadło. Wszystko działo się tak szybko. Realizator śmignął na dach, asystenta wywlekli zza miksera. Przede mną pojawiło się dwóch typów i wyciągnęło ręce. Gdzie tam ręce, łapy. Połamane, powykręcane, przeczące ludzkiej anatomii.

Pozostali, a było ich kilkunastu, zaczęli kołysać budką z mikserem. Kable skwierczały, sprzęt zlatywał na ziemię. Stałem jak kapitan na łajbie na rozszalałym morzu. Próbowali mnie dosięgnąć, próbowali mnie ugryźć. I nagle budka zachwiała się, przechyliła i przewróciła na bok.

Rach-ciach.

Szast-prast.

Rach-ciach i blaszany dach spadł na moją rękę, ucinając mi dłoń. Tak, tę dłoń! Dłoń arcygitarową, megariffową. Genialną. Dłoń Kielona!

Pech? Dramat? Wtedy sądziłem, że to najgorsza rzecz, jaka mnie mogła spotkać. Dach spadł na mnie, leżałem pod nim półprzytomny z krwawiącą ręką. Wkoło zombie pasły się na wspaniałych, młodych ludziach. W oczach miałem łzy, bo zdałem sobie sprawę, że już nigdy nie zagram swoich wspaniałych riffów. Już nigdy. Nie wiedziałem, że drzemie we mnie tak wielki talent wokalny. Nie wiedziałem, że nadal będę sprawiał radość milionom osób swoją muzyką. Nie jako gitarzysta, ale jako wokalista.

Pewnie do dzisiaj bym tego nie wiedział, do dzisiaj bym tego nie rozumiał. Ale spotkał mnie cud. Na swojej drodze spotkałem Go, mojego pasterza i zbawiciela. Zmienił cały mój świat. Zdjął bielmo z moich oczu. Dzięki wierze pojąłem, co tak naprawdę wydarzyło się w Trupieszowie.

To było pół roku po tym zombie festiwalu. Siedziałem w domu, przyszedł mój znajomy, zarzuciliśmy kwas. Czasem lubiłem. Ale najczęściej waliłem wodę. Najpierw czyściochę, potem whisky. Zdarzało mi się jointa zapalić, od święta hasz. Nie, o fetę wtedy było trudno. No więc łyknąłem to LSD, usiadłem w fotelu, puściłem Stinga. Pewnie, każdy Polak rodzi się z miłością do Stinga. Ty nie? Nie wierzę.

Zaczęło się dziać coś dziwnego. Chciałem krzyczeć, lecz usta miałem zasznurowane. Poszedłem do łazienki i tam, w lustrze, zobaczyłem potwora! Zobaczyłem zombie! Tak, byłem poczwarnym, żywym trupem.

Białka oczu zarosły mi bielmem, cerę miałem fioletową, pokrytą krostami i liszajami. Z nosa ciekła mi krew, gęsta i pełna skrzepów. Zamiast zębów miałem kły, jak doberman. A pod koszulą coś pełzło, jakby ogromny wąż spacerował mi po kłacie.

Krzyczałem, wyłem. Umierałem ze strachu. Padłem na kolana i zacząłem się modlić. I wtedy przyszedł On. Przyszedł i mnie uratował. Nakazał mi powstać. Powiedział, jak mam żyć. Kazał nauczać. Teraz swoją muzyką nauczam. A swoim życiem daję świadectwo. Rzuciłem wszystkie używki. Rzuciłem seks. Rzuciłem akordy septymowe i akordy zmniejszone.

Teraz wiem, co wydarzyło się w Trupieszowie. Teraz wiem, kim, a właściwie czym są zombie. To narzędzie Szatana. Wszystko sobie przypomniałem. Wtedy przy mikserze pojawili się nagle, znikąd. To Szatan zrzucał ich z nieba jak ogrodnik siejący ziarno. Diabeł rozsiewał tę zarazę po ziemi. To jego słudzy. Zmieniali ludzi na swoje podobieństwo. Słabych ludzi. Bo ci, których ostoją jest wiara, nie dali się przemienić, wytrwali i zwyciężyli.

Wtedy myślałem, że ucięcie mojej dłoni to kara boska. Teraz wiem, że to nagroda! Przetrwałem atak zombie! Przeżyłem! Niezbadane są ścieżki Pana, niezbadane. Dobrze, że w końcu można o tym mówić. Dobrze, że skończył się szlaban na informacje o zombie.

Lecz nie ulegajmy iluzji i pozorom. Nasz świat nie jest bezpieczny. Czeka nas długa walka z Szatanem. Bo zombie nie zniknęły. Przeciwnie, jest ich coraz więcej. W zeszłym miesiącu graliśmy w Londynie, potem w Amsterdamie. Strach chodzić po ulicach! Wszędzie żywe trupy! Facet z facetem idzie za rękę, dwie kobiety całują się w bramie, dzieci sprzedają dzieciom amfę. W Amsterdamie kościoły puste, burdele pełne. W Londynie w weekend wszyscy na urwanym filmie. Ulice zarzygane, orgie, gwałty, napady z bronią.

Ta zaraza do nas idzie! Uważajcie, zombie nadchodzą! Niech ta książka i moje słowa będą przestrożą!

# PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

**Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!**

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA  
**Helion** 

Wakacje, upał i rock'n'roll.

Festiwal muzyczny w małym miasteczku gdzieś w Polsce i młodzi ludzie cieszący się swobodą, bez nadzoru ze strony szkoły i bez kontroli rodzicielskiej. Pierwsze nastoletnie miłości i muzyczne fascynacje... Czy to nie brzmi jak świetny przepis na spędzenie wakacyjnych dni? Niekoniecznie.

.....

Nie w późnym PRL-u, w Polsce – kraju permanentnych niedoróbek i niedoborów. Nie z hordą wygłodniałych zombie na karku, zagrożeniem, na które ani rząd, ani obywatele absolutnie nie są gotowi. Przez dłuższy czas nikt nawet nie wie, czym są te dziwne stwory z apetytem na ludzkie mięso. Tymczasem wśród chaosu, krwi i zniszczenia Anka, Janek i grupa ich przyjaciół próbują... cóż, po prostu nie dać się zjeść. Jak im idzie i czy wyjdą cało z apokalipsy zombie, dowiedzie się z tej książki. Trochę strasznej – w końcu opowiada o żywych trupach. Ale też trochę śmiesznej – bo napisał ją Dariusz Dusza, mistrz groteski, znany z autorstwa takich piosenek jak *Au sza la la la* czy *Och, Ziuta*.

.....

Gotowi na podróż w czasie?  
Prosimy o zapięcie pasów,  
bo tempo tej opowieści nie zwalnia  
od pierwszej do ostatniej strony!

.....

*Zombie Fest to przeżabawna opowieść o kontraście pomiędzy polską subkulturą rockową lat 80. a dorabianymi jej po latach kombatantkami mitami. Przede wszystkim jednak – choć całkiem niespodziewanie – powieść Darka Duszy okazuje się gorzką satyrą na dzisiejszą Polskę, kraj ponurych hipokrytów, którzy na dorabianiu do groteskowych wydarzeń sprzed lat pasującej im ideologii próbują kręcić najrozmaitsze interesy.*

Piotr Bratkowski, „Newsweek”

 editio



Księgarnia internetowa:  
<http://editio.pl>



Zamówienia telefoniczne:  
**0 801 339900**



**0 601 339900**

Sprawdź najnowsze promocje:  
📍 <http://editio.pl/promocje>  
Książki najchętniej czytane:  
📍 <http://editio.pl/bestsellery>  
Zamów informacje o nowościach:  
📍 <http://editio.pl/nowosci>

Helion SA  
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice  
tel.: 32 230 98 63  
e-mail: [editio@editio.pl](mailto:editio@editio.pl)  
<http://editio.pl>

ebook dostępny wyłącznie na:  
**ebookpoint**.PL



ISBN 978-83-283-6165-2



Cena 37,00 zł